

Za co płacimy?

Mamy uzasadnione pretensje do Estrady, gdy za kilkudziesięciotowy bilet wstępu na koncert poczęstuje nas zespołem chałtury, gniewamy się na Pagart, gdy podrzuci nam trzeciorzędny zagraniczny solistę, nie lubimy, gdy przedstawienie w teatrze obsadzone jest drugim garniturem. Służ nie domagamy się, aby zlotówki wpłacone do kasy biletowej i te sumy, które pośrednio, ale przecież także z naszej kieszeni, docierają do instytucji, mających zagwarantować odpowiedni poziom widowiska, były spożytkowane celowo a efekt był porcjonalny do nakładów.

Nie wiem dlaczego więc godzimy się machnięciem ręki, będącym oznaką zrezygnowania, na miernotę, jaką oferuje się nam od dłuższego czasu na stadionach, szczególnie piłkarzskich. Prawdopodobnie nie zawsze dociera do naszej świadomości fakt, że panowie kopiący piłkę, nie robią tego przede wszystkim dla własnej przyjemności. Gdyby tak miało być, wystarczyłoby przeznaczyć na trening jedną piątą czasu obecnie przewidzianego i jedną dziesiątą pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie drużyn piłkarskich. Sport dla zdrowia znalazł już nową nazwę — rekreacja.

Wszystko poza tym, mieszczące się wprawdzie pod pojęciem sportu, ale uprawiane w randze lig, jest działalnością widowiskową. Może się to niektórym nie podobać, ale taka jest rzeczywistość. Nie przypadkowo bowiem poświęca się spore sumy na egzystencję klubów wyczynowych, nie przypadkowo buduje się wokół boisk trybuny dla dziesiątek, a nawet setek tysięcy widzów, nie przypadkowo niektóre imprezy śledzone są przez miliony widzów równocześnie na całej kuli ziemskiej.

Wróćmy jednak z tego wielkiego świata — na nasze, poznańskie podwórko. Powiada się tu, że nastąpił spadek poziomu piłkarstwa wielkopolskiego. Istotnie. Widowiska piłkarskie w wydaniu poznańskich drużyn mogą człowieka, nawet najspokojniejszego, doprowadzić do szewskiej pasji. Niektórzy działacze, szukając przyczyn regresu, znaleźli nawet źródło zła. Stwierdzili, że winna jest poznańska prasa, pisząca za mało o piłkarstwie i poświęcająca za mało miejsca na sprawozdania ze spotkań. Prawdę mówiąc też mam pretensje do prasy, a tym samym do siebie, ale — o to, że za mało piszemy o piłkarzach w taki sposób, na jaki zasłużyli swą postawą oraz o to, że sprawozdania z imprez, m. in. III ligi, równe są objętością relacjom ze spotkań ekstraklas. Zbyt długo bowiem bawimy się w rozważania tylko sportowe na temat spotkań będących często za ledwie namiastką widowiska piłkarskiego.

Wiara w ludzi jest rzeczą cenną, ale kiedyś kończy się kredyt zaufania, a wszelkie „zapewnienia” że w tym sezonie będziemy „grać jak nigdy”, że „jesteśmy wyjątkowo dobrze przygotowani” — stają się jałowe. Pozwalamy się od lat zwodzić, w imię diabli wiedzą jakiej sprawy. Już prawie bezkrytycznie przyjmujemy to, co dzieje się na boiskach, za wcale nie psi grosz płynący z państwowej kasy i naszej kieszeni.

Kilkudziesięciu młodych ludzi korzystających z (ogólnie mówiąc) przywileju piłkarza dyktuje warunki. Gdyby jeszcze mieli coś w zamian do zaoferowania, ale przecież wszystko co mogą rzucić na szalę argumentów — już widzieliśmy na boisku. Mało. Kilkakrotnie wybitni fachowcy prowadzili testy sprawnościowe wśród naszych zawodników. Żaden z dokumentów nie ujrzał światła dziennego, nie wyszedł poza małe grono ludzi — dodajmy — bezpośrednio odpowiedzialnych za taki stan.

W ten sposób uratowano zawodników przed kompromitacją w oczach opinii publicznej. Jak złudne były te nadzieje i jaki skutek przyniosła strusia polityka, dowodem aktualne tabelki mistrzostw II i III ligi. Możliwość naszych piłkarzy została obniżona przez naszych przeciwników. Nie może jednak być inaczej skoro skoczność przeciwnego ligowego piłkarza równa jest skoczności chłopca ze szkoły podstawowej, a bieg na 60 m z przyspieszeniem, kończy się zadyśką. Wiele uprzywilejowanych zawodników nie gardzi kieliszkiem, a w najlepszym wypadku zabija czas przy kawie i winie.

Działacze i trenerzy są bezzilni. Obrażenie „gwiazdora” przez zbyt

częste zwracanie uwagi albo zastosowanie „represji” może się zakończyć jego całkowitą rezygnacją z treningu, a co gorsza nieprzyjściem w niedzielę na mecz. I co wtedy? Ano nic, proszę panów. Przegramy tak jak wiele innych spotkań albo nie będziemy w ogóle grać, oszczędzając kibicom nerwów i złudzeń. Oba wyjścia są na pewno lepsze niż tolerowanie obecnego stanu.

Sa w naszych drużynach również zawodnicy, którzy chcą i potrafią pracować nad swoją formą. Nie brak i takich, którzy mimo dużego nakładu sił nie osiągną nigdy wymaganego poziomu, gdyż nie pozwolą im na to warunki fizyczne i psychiczne.

Piłkarska nożna jest sportem zespołowym, wymagającym od każdego członka zespołu równego zaangażowania w grę i przygotowania. Nie może być bowiem dobrego chóru, w którym część śpiewaków nie zna tekstu albo melodii. Patrząc na poznańskie drużyny zauważyć można przede wszystkim niedoświadczenie w opanowaniu warsztatu, a wynika to głównie z beztroskiego stosunku nie których piłkarzy do obowiązków.

W rozmowach, przy różnych okazjach, piłkarze chętnie powołują się na okrug katolicki i na warunki

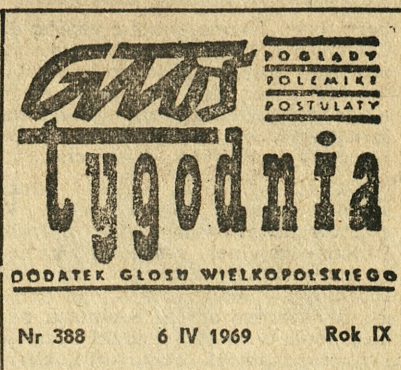
tam panujące. Mają rację. Podpisuję się pod tym o-buracz. Rozmówcy nie potrafią, albo nie chcą dopuścić jednak do swojej świadomości tego,

że gdyby u nas takie warunki nastąpiły, gdyby tak rozliczano zawodników jak na Śląsku, to po tygodniu treningów, przed 80 procentami piłkarzy zamknięto by bramy boisk. Tam się pracuje bardzo ciężko na treningu, a efektywniejsza gra Ślązaków, czy pozostałych drużyn II ligi, jest wynikiem żelaznej dyscypliny w klubach, nadzrodzonej roli trenera i działacza w stosunku do zawodnika, egzekwowania tego, co piłkarz musi z siebie dać w zamian za przywileje. Warto by nasi piłkarze zrozumieli, że to co złożyło się na aktualny układ tabel nie jest dziełem geniuszu przeciwników, ale daleko posuniętej choroby „tumulizmu” treningowego w naszych zespołach.

Zdaje sobie sprawę, że pod moim adresem padnie generalny zarzut wprowadzenia zlej atmosfery w decydującym okresie tak trudnego przecież sezonu. (Wszystkie poprzednie też były trudne). I jeżeli nic się radykalnie nie zmieni, to pod koniec sezonu, jednostki słabe, których od lat nie wystawiano na próbę krytyki, dołączą prawdopodobnie i ten artykuł... do bogatego arsenału „przyczyn obiektywnych”, składających się na żalony rezultat.

Z uwagą i niepokojem śledzę liczne sejmiki i walne zebrania, na których poruszane są sprawy wychowawcze. Młody organizm nie wyraża bowiem w warunkach laboratoryjnych, ale w atmosferze panującej w klubach. Gotowe wzorce do naśladowania, bardzo atrakcyjne dla młodego człowieka są blisko, w pierw-

Dokończenie na str. 3



Nr 388

6 IV 1969

Rok IX



Fot. — CAF

— Początkowo zamierzałem opowiedzieć tylko o wydarzeniach wojennych roku 1944. Napisać barwną opowieść przeplataną fragmentami reportaży, aby przeszłość odbijała się w obrazach, nie w słowach. Zastanawiałem się, czy nie można pisać historii w sposób żywy, jak czy nili to mistrzowie XIX wieku? Moja książka przez samą swą formę jest polemiką z nadętym, nudnym stylem piśmiennictwa historycznego — mówi pułkownik Zbigniew Załuski.

Rozmawiamy w Oborach koło Warszawy, w domu pracy twórczej ZLP. Kradną pułkownikowi czas przeznaczony na pracę nad scenariuszem dokumentalnego filmu o wojskach polskich na frontach drugiej wojny światowej.

— Dlaczego właśnie rok 44? — W kilku rozdziałach najnowszej historii Polski kryją się wciąż żywe, nie do końca wyjaśnione i nurtujące społeczeństwo zagadnienia, na przykład: klęska wrześniowa, Powstanie Warszawskie, Monte Cassino. O wrześniu 39 pisałem, dwa kolejno wymienione wydarzenia przypadły na rok 44. Także pobudki osobiste — jako żołnierz wybitnego na Czerniakowie 9 pułku 3 dywizji piechoty, nie mogę spokojnie słuchać o tym, że stojące na prawym brzegu Wisły armie rzekomo zwlekają z nie sieniem pomocy powstańczej Warszawie.

— Pańskie interpretacje faktów niekiedy zgola prowokują do poszukiwań innych wariantów rozwiązania.

— Nie odnoszę się po profesorsku ani do materiału, ani do odbiorcy, badania nie uczyniły mnie posiadaczem prawdy absolutnej. Moje pisarstwo to jakby przeniesienie na papier domowych dyskusji w gronie znajomych i przyjaciół. Pisząc mam przed sobą wyraźnego rozmówcę, do którego się zwracam, na wszelkie pytania najpierw odpowiadam sam so-

Z pułkownikiem Zbigniewem Załuskim rekonesans w historię

bie, sięgając nieustannie do dokumentów i pamięci innych ludzi.

— W trakcie pisania książki „Czterdziesty czwarty” musiał pan zmienić pierwotny zamiar, bo przecież wyszło coś więcej niż barwna opowieść o wydarzeniach wojennych.

— O roku 44 nie da się po prostu opowiedzieć żywo i barwnie. Wydarzenia wojny i rewolucji są tak ściśle związane, że jedno tłumaczy się przez drugie. Próbując to jakoś opisać, natknąłem się na mnóstwo wątpliwości, a najwięcej ich stwarza jesień 44. Jesień bez euforii i radośnych okrzyków, ale z mocną wolą aktywnego przetrwania, jesień ogromnego wysiłku i zawodu, bo spaliżowała marzenia i nadzieje, że wraz z wolnością skończą się wszystkie kłopoty i zapanuje powszechne szczęście.

— Pańskie polemiki charakteryzuje szczególny klimat, odnosi się wrażenie, że broni pan straconych pozycji, broni pan ludzi z przeciwnej strony barykady.

— Proszę pana, rzeczy złych w historii nie robią na ogół ludzie źli, robią je ludzie zwyczajni, zagmatwani

doktrynami. Nie angażujemy się emocjonalnie w spór „białych” i „czernych” z okresu powstania styczniowego, w tym znaczeniu również rok 44 należy do przeszłości. Jednak współczesnej jednostki nie wolno budować na zapomnieniu, tylko na zrozumieniu ówczesnych podziałów.

Młodzi powinni poznać dokładniej procesy, w wyniku których narodziła się nowa Polska. Oczywiście nie po to, aby jej powiedzieć, że „myśmy się namęczyli, a wy się u-czyść nie chcecie”. Chodzi o wnikięcie w przyczyny, dla których Polska ukształtowała się w taki sposób, o znajomość konstrukcji domu, w którym żyjemy, o zrozumienie przesłanek, które skłoniły budowniczych do zastosowania takiej konstrukcji. Młodzież musi pamiętać o działających w tej konstrukcji mechanizmach, o rygorach obowiązujących przy ich eksploatacji, musi wiedzieć, że w tym domu nie wolno trząść drzwiami.

— A więc ostrzeżenie przed lekkomyślnością zarówno w wyborze poglądów jak w postępowaniu, przed lekkomyślnością i zaślepieniem, które w roku 44 zaprowadziły tylu młodych do band.

— Czy rzeczywiście do band szli młodzi? Czy przypadkiem nie ulegliśmy mitom, wypływającym z sugestywnej sztuki, jak film Wajdy? Przez gład stanu osobowego band wykazuje, że poza kadrami, przytłaczającą większość stanowili tacy, którzy w czasie okupacji nie byli w konspiracji. Wyłączam tu Narodowe Siły Zbrojne, które generalnie przeszły z jednej konspiracji do drugiej. Świadomego wyboru dokonywali dorosli upierający się przy swoich koncepcjach politycznych. A młodzi to raczej tacy, którzy wcześniej nie zdążyli postrzelać. Maciek Chełmicki z „Popiołu i diamentu” jest postacią raczej odoosobnioną niż typową.

— Skoro mówimy o artystycznej wizji tamtego okresu, to może wymienić pan te pozycje — użyjemy tradycyjnego określenia — z literatury pięknej, które dają przekonujący obraz roku 44. — Sam najbardziej lubię Saffana „Potem nastąpi cisza”, podobają mi się powieści Bilińskiego „Nagrody i odznaczenia” (powieść ta należy do zestawu książek naszej ankiety — przyp. W. B.).

— Wiedza historyczna kształtu je postawę wobec zagadnień aktualnych — mówił pan o tym przed chwilą. Do jakich wniosków prowadzi analiza roku 44?

— Pomaga w uświadomieniu sobie miejsca Polski na mapie, a więc również stosunku do Wschodu i Zachodu. Potwierdza tezę, że Polska, która się nie rozwija, nie może liczyć na istnienie. Poucza o obywatelskiej odpowiedzialności każdego z nas, pokazuje racjonalną genezę Polski, w której dziś żyjemy — Polski Ludowej.

Rozmawiał:

WOJCIECH BURTOWY

Na wypowiedzi o książce Zbigniewa Załuskiego „Czterdziesty czwarty” czekamy do 26 kwietnia br.

TWOJE ZDANIE O KSIĄŻCE

w spłoty determinujących ich postępowanie warunków. Czy ktoś potrafi jednoznacznie odpowiedzieć, za co w historii należałoby karać? Na pewno za ucieczkę z pola walki, za zejście poniżej poziomu moralnego obowiązującego w danym społeczeństwie. Istnieją jednakowo nieprzekraczalne granice w sprawach wielkich i małych. Ale czy zasługują na potępienie ktoś, kto wszystkimi siłami i z pełnym wewnętrznym przekonaniem trwał przy koncepcji, który nie mógł zrozumieć, a która dopiero w dziełowym rozrachunku okazała się błędna, a nawet i zgnębna? — Powiedział pan: „Istnieją jednakowo nieprzekraczalne granice w sprawach wielkich i małych”. Zdanie to w kontekście całej odpowiedzi na moje poprzednie pytanie oznacza, że każdy człowiek ponosi w jakimś zakresie odpowiedzialność za rozwój dzieł swojego narodu.

— Tak myślę i dlatego uważam, że studiowanie historii stanowi niezbędny element przygotowania człowieka. Nikt z nas nie żyje w bezpiecznym, bezkonfliktowym świecie, gdzie byłby asekurowany od rozwiązywania aktualnych problemów. Na czym opierać decyzje, jeśli nie na analizie zjawisk, które są za nami?

— Czy z punktu widzenia historyka-publicysty, albo dokładniej: z punktu widzenia zajmowanego przez pana jako historyka i publicystę dzisiejsi młodzi powinni wewnętrznym przeżyć te konflikty, które przeżywali ich ojcowie?

— Nie ma sensu wskrzeszanie spórów z umarłymi ludźmi i umarłymi

Wanda Chila

Baza ludzi z inwencją

Do gmachu Prezydium Powiatowej Rady wchodził się przez piękny, nowoczesny hall, zdobny ścienną płaskorzeźbą. Tuż obok, przez sąsiedni korytarz droga wiedzie wśród kublów z wapnem i desek, pochłapanych świeżą farbą. Tu proces odmalowania budynku jeszcze trwa; tu się jeszcze remontuje, przerabia, unowocześnia. Ten charakterystyczny obraz będzie się na tym terenie wielokrotnie powtarzać; będzie powracał również w rozmowach z mieszkańcami. Nie bez odcienia satysfakcji wymieniał on imię Kazimierza Wielkiego, jakim czasami żartobliwie nazywają przewodniczącego swojej rady powiatowej, który „zabrał się do remontowania ziemi nowotomyskiej”.

— A jak się u was buduje, doktorze? — pytam kierownika powiatowego Wydziału Zdrowia dr Jerzego Kozowskiego — biali personel także zamienił się w brygadę budownic-

zych? Znanie są przecież narzekania na niedobór kadry — zwłaszcza wśród lekarzy ogólnych, na przeciążone rejony, zmuszające do zbyt długiego wyczekiwanie na poradę, wreszcie na ciasnotę pomieszczeń placówek służby zdrowia, która stanowi ostatnio żelazny temat do wszelkiego typu „zdrowotnych” dyskusji w każdym wielkopolskim miasteczku czy wsi. Z rozmowy widać, że powiat nowotomyski niczym się pod tym względem nie różni od trzydziestu trzech pozostałych rejonów Wielkopolski. Jeśli chodzi o liczbę lekarzy, przypadającą na 10 tysięcy mieszkańców — pozostaje nawet nieco w tyle za przeciętnymi. Tu bowiem wskaźnik ten wynosi zaledwie 5,3 (w województwie przeciętnie — 7, w kraju — 10). Przez ostatnie lata wzrósł wprawdzie nieco, ale bardzo nieznacznie. Jeśli zaś w ogóle udało się go zwiększyć to szczególnie ostatnio i właśnie dzięki...

— Właśnie, żeby pani wiedziała że

Dokończenie na str. 3



Rvs. Ewa Pruska



Władysław Gałka: „...Dużo jeszcze u nas biurokracji a za mało dobrej woli. Najbardziej kręte są ścieżki wędrowek po urzędach. Chyba często dlatego ludzie omijają normalną drogę załatwiania swoich spraw...”

Fot. — M. Różański

Proszę chwilę zaczekać, poseł jest zajęty — mówi sekretarka. Czekam więc. Nie sama. Obok mnie siedzi w fotelu skulona kobieta, ubrana z miejską w kapeluszu. Choc odwraca twarz, spostrzegam, że jest zapłakana. Ze zmartwieniem do posła. Pewnie i z trema.

Kiedy z gabinetu wychodzi mężczyzna w długich butach, ona wsuwa się chyłkiem na jego miejsce. Następna w kolejce jestem ja. Nie mamy czasu na rozmowę, bo oto w drzwiach pojawia się i znika głowa następnego petenta.

— Proszę usiąść tu, na boku — mówi poseł Władysław Gałka. Po dziesiątej będę wolniejszy. Nie mogę wyznaczyć swoim wyborcom godzin przyjęć, muszę raczej dostosować się do ich czasu. Często przyjeżdżają do Szamotuł w innych sprawach urzędowych i przy okazji radzą się w różnych kłopotach, proszą o pomoc, interwencję. Wiedzą, że codziennie w godzinach od 8—10 można mnie tu zastać. Później jadę w teren do kółek. Przede wszystkim jestem przecież prezesem Powiatowego Związku Kółek Rolniczych, muszę pilnować swoich codziennych obowiązków.

Wchodzi mężczyzna w średnim wieku, przysiadł na brzeжку fotela. Wyłuszcza swoją sprawę. Jest właścicielem 14-hektarowego gospodarstwa, ale ma nieregulowane sprawy spadkowe. Po ojcu jest testament, po matce nie. Rodzeństwa sześciorgo, jeden brat mieszka w NRF.

— A syn będzie prowadził gospodarstwo, jakbyście wszystko pomysłnie załatwili? Żonę znam — jest dobra gospodynią, działaczka KGW, ale chodzi o następcę... Żeby pole chwastem nie obrosło.

— Jasne! Mały jest zapalony do gospodarki, szykuje się na rolnika.

Poseł łączy się telefonicznie z prawnikiem.

— Potrzebny wypis? Aha! To ja bym go do pana przysłał po szczegółowe wyjaśnienia. Dziękuję. Słyszysz pan? — zwraca się do rolnika. Musza stawić się wszyscy wymienieni w testamentie, a od brata z NRF potrzebne pełnomocnictwo. Proszę iść do notariusza do Sadu Powiatowego, czeka na pana.

Wchodzi następna kobieta: nie siedzi, od razu przystępuje do rzeczy, mówi jednym tchem.

— My należymy do rolnictwa i placimy podatek gruntowy. Mamy hektar własnej ziemi i dzierżawimy

jeszcze półtora. Mój mąż, żeby trochę dorobić, furmani. Raz wozi węgiel, raz warzywa, jak się trafi okazja. Wydział finansowy przysłał nakaz zapłacenia za to podatku. A przecież to nie jest stałe zajęcie, jak u innych furmanów. To oni żgają go, bo nie należy do ich kompanii, nie pije. Już raz też przyszedł nakaz, ale po rozpatrzeniu podatku umorzyli. Teraz znów. Co mąż ma robić?

Kobieta jest energiczna. Wiem, że cokolwiek poseł poradzi, nie mąż, ale ona będzie załatwiała.

— Jeżeli mąż furmani rzeczywiście dorywco, nie ma obowiązku płacić podatku. Wyjaśnię tę sprawę, proszę się nie martwić.

Poseł zagląda do sekretariatu.

— Nie ma już nikogo. To chyba i koniec. Miałem dzisiaj dwie nieprzyjemne sprawy. Była tu jedna księgowa która przewłaszczyła sobie 7 tysięcy złotych. Po wykryciu nadużycia pieniądze zwróciła, ale grozi jej przecież rozprawa sądowa. Prosi, żeby areszt zamienić na grzywnę, bo co się stanie z dziećmi, jak ona pójdzie do więzienia. Dziwni są ludzie. Najpierw bez zastanowienia biorą społeczne pieniądze — mówią, że z biedy a kiedy trzeba za ten czyn odpokutować, znajdują środki, żeby się wykupić.

Ale przechodzą ludzie naprawdę pechowi. Właśnie tego dnia zjawił

bezradny: „Zwracam się z prośbą do Obywatela Posła o przyznanie mi większej ilości materiałów budowlanych...” albo: „Od lat staram się o nowe mieszkanie i moje wnioski załatwiane są odmownie. Mam się zapisać do spółdzielni, a przecież...”

Skargi, zażalenia, wnioski, liczy się nie na setki, ale na tysiące. W ciągu 4 lat przez gabinet prezesa PZKR przewinęło się około 5 tysięcy interesantów. On sam odbył 218 spotkań z wyborcami swojego okręgu, do którego oprócz Szamotuł należą powiaty międzychodzki, chodzieski, czarnkowski, trzcianiecki, obornicki i poznański oraz Pila.

Ile uwag wysłuchuje na przypadkowych spotkaniach czy zebraniach, nie mających bezpośredniego związku z działalnością poselską? Oczywiście, najwięcej w swoim powiecie, po którym nieustannie krąży, doglądając międzykółkowych baz maszynowych, prawdziwego powodu do dumy. Który powiat w Wielkopolsce, ba — w Polsce, ma takie! Był tu niedawno sekretarz generalny Centralnego Związku Kółek Rolniczych — Stanisław Tomaszewski, wyraził o nich największe uznanie.

Tego dnia towarzysze posłowi w jego codziennej pracy terenowej. Mam możność przekonać się, że istotnie tak jest, jak mówi. Nasza rozmowa toczy się trochę w samochodzie, trochę w przerwach między załatwianiem różnych kółkowych spraw. W Pniewach trzeba było zawrzeć umowę z nowo przyjętym księgowym do Międzykółkowej Bazy Maszynowej; w Grzeblisku odbywało się zebranie zarządów kółek rolniczych tej gromady dla omówienia spraw, związanych z akcją wiosenną; w Dusznikach czekał na prezesa kierownik MBM.

Władysław Gałka, znany jest na swoim terenie nie tylko z nazwiska. To przede wszystkim działacz. Gdziekolwiek się pojawi przychodzi ludźmi z pytaniami, uwagami i... pretensjami. Trudno ustalić granicę, gdzie kończy się jego działalność służbowa, a zaczyna poselska.

— Ludziom się wydaje, że ja wszystko mogę, że powinienem załatwić. Trudno wytłumaczyć niektórym, że nie wolno mi wykroczać poza przepisy obowiązujące w państwie. Inna rzecz — interweniuję nieraz za pełnię niepotrzebnie, w sprawach, które mogłyby być załatwione bezpośrednio przez jakiś urząd czy instytucję. Dużo jeszcze u nas biurokracji, a za mało dobrej woli. Najbardziej kręte są ścieżki wędrowek po urzędach. Chyba często dlatego ludzie nauczeni przykrym doświadczeniem, omijają normalną drogę załatwienia swoich spraw. Odsyła się petenta z kwitkiem, by potem, po mojej interwencji, załatwić go jak należy? Po co to? Z jednej strony zyskuję więc ludzką wdzięczność, z drugiej jestem pod ostrzałem zarzutów, a także i plotek. Rozmawiam często na ten temat z pierwszym sekretarzem KP PZPR Stachowiakiem. Wielce sobie cenię pomoc i współpracę Komitetu Powiatowego, choć sam jestem zeteselowcem.

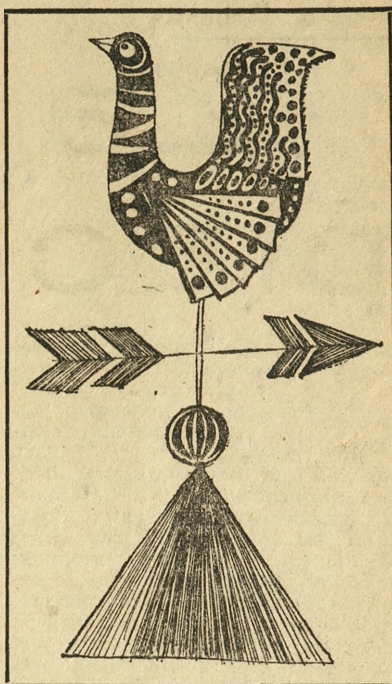
Zapada zmrok, kiedy wracamy do Szamotuł. Za nami wiele kilometrów jazdy, zebrania, przebieżanie dróg, pełnych tonięjącego śniegu i błota. Kiedy samochód zatrzymuje się na przejeździe kolejowym, ktoś puka w szybę. Motocyklista w kasku zagląda do wnętrza wozu.

— Jutro z rana będzie pan na miejscu? Chciałbym wpaść...

— Oczywiście. Do dziesiątej, jak zwykle.

Michał Łuczak

Z kancelarii do pałacu ślubów



ROZWÓJ ŚWIECKIEJ SYMBOLIKI OBRZĘDOWEJ

W latach pięćdziesiątych w niejednym urzędzie stanu cywilnego ludzie wstępują w związki małżeńskie traktowani byli jak zwykli petenci. A więc młoda para i świadkowie dopiero po wyczekiwaniu przez kraczały progi kancelarii, gdzie urzędnik obłożony segregatorami i pieczętami zalał sprawę ślubu. Bardziej przypominało to spisywanie danych personalnych, przez milicjanta, który chce zaaplikować mandat, niż uroczystość...

Obecnie w kontaktach młoda para — urządzić zdarzają się innego rodzaju gąfy. Np. we wrześniu przy kawie i lampce wina zorganizowano uroczyste spotkanie młodych małżeństw z psychologiem i prawnikiem, przy czym tematem jednej prelekcji był... rozwód. Słuchaczy dokładnie poinformowano jak się go przeprowadza; pewnie w myśl porzekadła: parasol noś i przy pogodzie...

Ale skoro obecnie mamy kłopoty w rodzaju nieporozumienia wrzesińskiego to zapewne ślub w urzędzie stanu cywilnego zasługuje już na miano uroczystości. Rzeczywiście. Wystarczy powiedzieć, że chociaż nie każdy USC dysponuje takimi komfortowymi warunkami jakie są w Poznaniu czy Kórniku (tamtejszy zamek), to jednak ogromna większość tzw. sal małżeństw spełnia wymagania estetyki. A młoda para istotnie staje na ślubnym kobiercu i to przy dźwiękach „Marsza weselnego” Mendelschona lub „Marzenia” Schumanna. Potem nowożeńcy wyjmują ze specjalnego futerału obrączki i wymieniają je między sobą. Kierownik USC wygłasza przemówienie, w którym zwraca się również do rodziców młodej pary. Ta ostatnia otrzymuje ozdobny — pamiątkowy dokument małżeństwa. Inną pamiątkę może stanowić płyta pocztówkowa z nagraniem przebiegu uroczystości ślubnej. Oczywiście, są kwiaty i życzenia — niejednokrotnie składane przez przedstawicieli zakładów pracy, których pracownikami są nowożeńcy. Jeśli przy USC jest odpowiedni lokal uroczystość kończy się dużą czarną lub lampką winą...

Tak więc zawarcie związku małżeńskiego w USC, kiedyś równoznaczne z kilkoma czynnościami urzędowymi, oschłymi jak instrukcja kancelaryjna — obecnie kojarzy się nam z określoną świecką symboliką obyczajowo-obrzędową. Jej humani-

styczny, wychowawczy sens polega na stworzeniu odpowiedniej oprawy do tak ważnego w życiu człowieka wydarzenia, jak małżeństwo.

Warto podkreślić, że obecnie Urzędy Stanu Cywilnego i współpracujące z nimi organizacje społeczne (np. Towarzystwo Świadomego Macierzyństwa) interesują się nie tylko samym zawieraniem związku małżeńskiego. Chodzi im również o to, by nowożeńcom wpoić nieco wiadomości na temat małżeństwa, rodziny i dziecka. Stąd też spotkania kandydatów do stanu małżeńskiego lub nowożeńców z lekarzami, pedagogami, psychologami, prawnikami. Oczywiście kilka prelekcji nie wystarczy na wdrożenie komukolwiek podstawowych kwalifikacji pedagogicznych. Trzeba jednak liczyć na to, że część słuchaczy zainteresowanych omawianą na spotkaniach problematyką zechce ją poszerzyć i sięgnie po odpowiednie książki. Te spotkania i prelekcje, stanowią więc ważną formę przeciwdziałania paradoksalnemu zjawisku. Na czym ono polega? Właściwie nie do pomyślenia jest, by ktoś rozpoczął pracę w zawodzie, nawet nie wymagającym skomplikowanych czynności, jeśli nie posiada minimum kwalifikacji (i słuszenie), natomiast wychowanie dzieci — rzecz niezwykle trudna — należy do obowiązków wielu ludzi nie mających nawet zielonego pojęcia o pedagogice.

Przejdźcie z kancelarii do sal, a niekiedy — pałaców ślubów i sal spotkań, mających na celu m. in. pedagogizację przyszłych rodziców — to metamorfoza, która niestety nie do czekała się jeszcze równorzędnego odpowiednika w kontaktach między urzędem a obywatelom przeżywającym takie wydarzenia, jak np. urodziny dziecka czy też zgon kogoś bliskiego. Zdarza się jeszcze, że niewielka bywa różnica między wizytami w siedzibie prezydium rady narodowej dwóch obywateli, chociaż jeden z nich przychodzi zgłosić urodzenie dziecka, a drugi — zarejestrować rower.

Powiedzmy od razu: rzecz w tym, że nie zostały jeszcze dostatecznie upowszechnione formy uroczystości, organizowanych przez USC, w związku z urodzeniem się dziecka. Chodzi tu o wręczenie rodzicom pamiątkowych dokumentów urodzenia i —

Dokończenie na str. 4.

Krzysztof Krauss

MY I INNI

Na wielkanocnym stole

Wielkanoc bez pisanek? Też pomyśl! Co prawda starsi ludzie — nie bez racji — powiadają, że sztuka przygotowywania pisanek podupadła — toż to cały rozdział wiedzy zdobniczej, komu dzisiaj starcza na nią czasu i cierpliwości — ale nawet w najbardziej „zlaicyzowanym” domu nie sposób wyobrazić sobie tego pięknego święta, będącego symbolem odradzającego się życia, bez barwnych, wzorzystych „pisanek” czy choćby tylko kolorowych „kraszerek”. Przygotowanie pisanek to całe misterium, podniosła uroczystość (nie mówię o tych, co ulegli zgniliznie czasów współczesnych i sprawie „załatwiają” przy pomocy zakupów w „Cepelii” lub na bazarze): komendę nad do mownikami przejmują babcia, co to jeszcze pamięta, jak przyrządzać wywar z łupinek cebuli, kory wiśni i jabłoni, listek kwiatów maitwy itp. (bo posługiwanie się farbami do bielizny jest oczywiście profanacją, która żadnej szanującej się babci nie przyjdzie do głowy), co to wie, jak wyczarować na skorupce delikatne wzorki gałązek, kurzych łapek, dzwonków, wiatraczków, sosenek.

Święta wielkanocne to jeden z tych dni w roku, w których czynimy wyłom od codziennego jadłospisu: obok mięsa i wędlin skłonnym jesteśmy dopuścić do towarzysztwa ukraszone co prawda, ale jak najbardziej autentyczne jaja — których jesteśmy jednym z największych w Europie producentów i eksporterów, lecz zarazem jedną z najmniej rosmakowanych w tym specjale nacji.

W produkcji jaj zajmujemy 11 miejsce w świecie i 7 w Europie. Nasze kury znoszą rocznie ponad 6 250 milionów jaj, dając się wyprzedzić jedynie kurom północno-amerykańskim (66,5 mld), radzieckim (31 mld), japońskim (18,7 mld), brytyjskim (14 mld), zachodnio-niemieckim (12,9 mld), francuskim (9,5 mld), brazylijskim (9,4 mld), włoskim (8,5 mld), hiszpańskim (8,6 mld) oraz przypuszczalnie chińskim, których jednak działalność w tej dziedzinie została od czasu rewolucji kulturalnej ściśle utajniona, stąd brak danych.

Polskie jaja cieszą podniebienia wielu smakoszy w różnych zakątkach świata. Był taki okres — zanim, na mocy postanowień tzw. traktatu rzymskiego, nie wzniesiono barykad celnych mających zagrozić im drogę do państw EWG — że co s z ó s t e j a j o występowały w obrotach międzynarodowych pochodziło z Polski (1961 r.), zarabiając dla nas dewizy, ale i dzisiaj jaja z nadrukiem „Poland”

rozchodzą się szeroko po świecie. W roku 1967 ponad pół miliarda jaj polskich wyruszyło w podróż po świecie, z czego około ćwierć miliarda do krajów socjalistycznych (ZSRR, Jugosławia, Czechosłowacja, NRD), dalsze ćwierć miliarda do krajów kapitalistycznych Europy (Austria, NRF, Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania i Włochy) a ok. dziesięć milionów reprezentacja dotarła do krajów dla nas egzotycznych takich jak Arabia Saudyjska i Liban.

Polskie jaja mają więc wyrobioną markę w świecie, tyle — że w „domu”, w kraju, ciągle jeszcze nie są darzone zbyt wielkim sentymentem. Statystyczny mieszkaniec naszego kraju konsumuje rocznie około 9 kg jaj czyli około 170 sztuk (około 1/2 jajka dziennie), gdy np. mieszkaniec USA — około 18 kg, Wielkiej Brytanii i Kanady — około 15 kg, Austrii, Belgii i Luksemburga oraz NRF — 14 kg, Czechosłowacji — 13 kg, Australii, Danii, Szwecji, NRD — 12 kg, Francji i Holandii — 11 kg, Szwajcarii, Węgier i Włoch — 10 kg.

Powtarza się historia z rybami — gdzie my, dysponujący 524 km wybrzeżem morskim, jedną z największych w Europie flot rybackich, konsumujemy niewiele więcej ryb „na łepkę” niż znający morze z widokówek i wycieczek zagranicznych Szwajcarzy czy Austriacy, a pięć razy mniej niż Duńczycy czy Szwedzi.

Tyle, że nasza „awersja” do jaj ma swoje źródło nie tylko w tradycjonalizmie gustów, lecz również w określonych przesłankach ekonomicznych. Jaja są u nas po prostu stosunkowo drogie. Nie jest to przypadek. Jesz-

cze w starożytności w Egipcie i Chinach odkryto sposoby sztucznej inkubacji jaj, a wraz z tym uniezależnienia hodowli drobiu od kaprysów kurzej pary, co to raz chce, a raz nie chce. W Europie rewolucję w tym względzie zapoczątkował René Antoine Ferchault de Réaumur, wielce zasłużony francuski fizyk i przyrodnik, który w roku 1750 zbudował pierwszy na naszym kontynencie aparat do sztucznego wylęgu. Zastosowanie metod naukowych pozwoliło na hodowlę i chów drobiu w warunkach różniących się skrajnie od naturalnych i stworzyło podstawy do produkcji drobiarskiej na skalę przemysłową w fermach liczących setki tysięcy ptaków. Wyhodowano gatunki kur, które znoszą średnio w ciągu roku 210 i więcej sztuk jaj. Natomiast u nas ciągle jeszcze w decydującej mierze jest to produkcja taka, jak przed blisko 5 tysiącami lat: kura żywi się sama, tu dziobnie, tam dziobnie, zniesie jajko, kiedy jej się podoba, a nie kiedy na jajo mamy apetyt. Na początku lat sześćdziesiątych prawie połowę kurzego pogłowia stanowiły kury bezzasowe, a średnia produkcja jaj od 1 kury wynosiła rocznie 94 sztuki.

Polskie jaja, ze względu na ten, mało już gdzie praktykowany system hodowli, mają dobrą renomę u dolarowych smakoszy — bo to i kolor podobno ładniejszy, smak przedniejszy. Ale co tu dużo mówić: póki w naszej hodowli opierać się będziemy na metodach z czasów Piasta Kołodzieja, potąd kura w rosole i jajko na przystawkę będzie specjalnie nie na co dzień i nie na tę skalę, co gdzie indziej, dostępnym. Zawsze schaboszczak będzie miał nad kurzymi delicjami przewagę.

Baza ludzi z inwencją

Dokończenie ze str. 1

się zamieniamy w budowniczych! Jedni z konieczności, inni z zamiłowania, wszyscy — z powodu nagłych potrzeb...

To jest nasza specyficzna, wielkopolska droga do rozwoju, do współczesniejszego służby zdrowia. Czekanie na budowę nowych pomieszczeń prowadziło w prostej linii do kapi-tulacji wobec zwiększających się z każdym dniem obowiązków i wy-mogów, stawianych przez pacjen-tów. Dlatego właśnie dzisiaj w każ-dym wielkopolskim powiecie tak bardzo liczą się ludzie z inwencją, wśród powiatów zaś liczą się te, któ-re mają takich ludzi najwięcej. Typ konkurencji narzuciło życie: pierw-szą bowiem pomocą dla duszącej się powiatowej służby zdrowia są ludzie, którzy potrafią zakasać rekawy rów-nież do roboty nie zupełnie z lecznic-twem związanej. Niemniej poważne i cenne do zabiegu chirurgicznego okazują się zabiegi o wynalezienie zdatnego jeszcze do adaptacji na ośrodek zdrowia budynku, o uzyska-nie zgody na przejęcie go, a potem o zdobycie środków na jego remont.

W wyniku takiej właśnie działal-ności, a także dzięki szczególnie przychylnym działom w No-wym Tomyślu, udało się większość, pracujących w zupełnie nieodpo-wiednich warunkach, ośrodków do-prowadzić w ostatnich latach do sta-nu, który już można uznać za pra-widłowy. W 1967 roku wyremont-o-wano więc np. gruntownie miejski ośrodek zdrowia w Grodzisku, w roku ubiegłym rozbudowano ośrodki w Lwówku, Zbąszyniu i Bolewi-cach. Wybudowano też — społecz-nym czynem — garaże dla samocho-dów Powiatowej Kolumny Transpor-tu Sanitarnego. W taki sam sposób wykańcza się już obecnie trzy „le-karówki”, które przysporzą kilka nowych mieszkańców dla lekarzy i pielęgniarów. W bieżącym roku rozpocz-nie się remonty ośrodków w Kuśli-nie, Granowie i Opalenicy.

Opalenica zaś — to znowu cały, oddzielny rozdział w historii nowoto-myskiej służby zdrowia. Rozdział otwarty nadal, pieczołowicie uzupeł-niany każdego dnia przez dr Elżbie-tę Hancewicz. Pacjenci przywykli już do widoku swojej pani doktor, urzędującej w gabinecie przyjeżdż od godziny 6 rano. Zapewne i ona sama nie widzi w tym nic dziwnego, choć lata leca, a emerytura od dawna nęci wygodnym fotelem. Jakże jed-nak znaleźć czas choćby na myśli o nim, skoro na opiekę i pomoc czeka 14 tysięcy ludzi, a udzielić jej może tylko ona jedna. Zabiegi o zastępcę spala ją na panewce. Osypała, wegetu-jące pomiędzy „badylarskimi” ogródkami miasteczko nie stanowi atrakcji na mapie współczesnej Pol-ski. Przywijała się do niego wszakże starsza, siwa pani, która nie licząc godzin ani dni wzorcowo pro-wadzi swój rejon — gigant. Niektórzy mówią o niej: „Ostatni Mohika-nin! Takich już nie ma w służbie zdrowia”.

Są jednak inni: Nowi... wojownicy. Od czterech lat równie dobrze pro-wadzi przychodnię międzyszkolną w Grodzisku dr Danuta Socha,

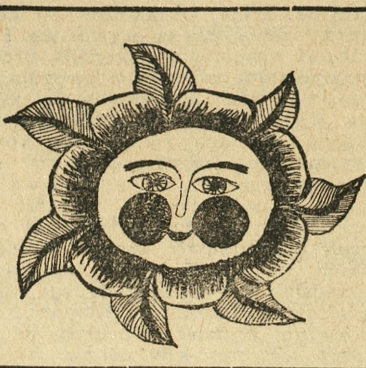
k-tóra — z powodzeniem! — stara się udowodnić, że przemysłowa służ-ba zdrowia jest pierwszym sojusznikiem ubożego lecznictwa otwartego. Ona sama zaś należy do rosnącej u nas stale grupy młodych lekarzy, którzy zdecydowali się podjąć spe-cjalizację zgodną z wykonywaną pra-cą i przez to silniej związać z tere-nem. Dzięki nim wielkopolska po-wiatowa służba zdrowia zaczyna wysławiać się w kraju drugą — obok „budownictwa” — specjalnością. Jest nią zapewnianie lekarskich usług specjalistycznych na miejscu. W No-wym Tomyślu 6 poradni specjali-stycznych ma już obsadę pełną, miejscową i przyjmuje pacjentów codziennie. Do pozostałych dojeżdżają lekarze 2 razy w tygodniu. To jest sukces, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że bardzo wiele powia-tów w Polsce — m. in. w woj. byd-goskim — jest pozbawionych zupeł-nie opieki specjalistycznej na miej-scu.

Dojeżdża też „do powiatu” — choć z całkiem innych przyczyn dr Ire-neusz Cieśliński — dyrektor szpi-tala rejonowego w Grodzisku, le-karz-architekt, jak o nim mówią dookoła. Przyjeżdża przeważnie po to, by załatwić nie cierpiące zwłoki sprawy remontowe. Przed efek-tami tych jego zabiegów staje czło-wiek — bez przesady — zdumiony. Na fotografii, zrobionej „na wiecz-ną rzecz pamiętkę” — stary, dzie-więtnastowieczny gmach szpitalny z wąskimi, wysokimi oknami, tępy-mi, przysadzistymi „wieżami”. Stał taki w Grodzisku jeszcze kilka lat temu. Dziś, na jego miejscu jaśnieje świeżym tynkiem nowoczesny pa-wilon o wielkich oknach, wygodnym (bez schodów!) podjeździe do drzwi. Za nimi — wnętrze, którego nie po-wstydyliby się niejeden nowo wy-budowany przybytek służby zdrowia. Poczekalnia, izba przyjęć połączona z poradnią chirurgiczną, przeznac-zoną dla doraźnej pomocy (wypo-sażona też w sprzęt reanimacyjny — czynna cała do-bę. Na górze, w miejscu dawnych ogromnych, kilkunastoosobowych sal — malutkie, przytulne, kolorowe pokoiki na 3 osoby. Przy każdym łóżku dwója-ka, wygodna nawet dla obłożnie chorego, sygnalizacja alarmowa i przyćmione nocne oświetlenie. Wszędzie krany z bieżącą ciepłą wo-dą (a przed kilku laty szpital nie miał pełnej kanalizacji). W tym pawilonie mieści się oddział chirur-giczny męski i żeński. Interna i po-łożnictwo znajduje się w drugim pawilonie, odległym o 150 metrów. Ten drugi pawilon — to przyczyna nowych „budowlanych” trosk dr. Cieślińskiego. Też wymaga remontu, nie jest funkcjonalny.

— Niech pani spojrzy — mówi dyrektor, gdy wychodzimy z bu-dynku na ulicę — ten garaż mu-simy przebudować na aptekę szpi-talną. To się doskonale da zrobić. Ale najpierw wykończymy naszą „lekarzówkę”. I jeszcze dwie na-stępne. Czy nam się uda? Niech pani jeszcze raz spojrzy na starą foto-grafię i na ten pawilon. Udało się?

No cóż? — mocny argument.

WANDA CHILA



Władysław Machejek nazy-wa sam siebie „politykiem nie zinstytucjonalizowa-nym”. A przecież jest swe-go rodzaju instytucją. I to nie jako pisarz bądź o głoś-nym nazwisku, ani nie jako dłu-goletni redaktor naczelnego „Życia Li-terackiego”, lecz właśnie ja-ko polityk, a ściślej — jako poseł. Plonem jego poselskiej działalności jest książka pt. „Poselskie potyczki”, będąca zbiorem reportaży na-pisanych w latach 1957 — 1968, pu-blikowanych w większości wcześniej na łamach krakowskiego „Życia Li-terackiego”. Autor tych reportaży rozpoczął swe posłowanie w 1957 ro-ku, był więc jednym z tych, którzy dopiero po Październiku otrzymali mandat. I jest posłem rodzinnej Zie-mi Krakowskiej po dziś dzień. Syn chłopca z Miechowszczyzny, przed wojną członek Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej, w cza-sie okupacji oficer AL, przyjął na siebie obowiązki posła. „Nie karie-re przyniesie mi mandat poselski, wierzę... — mówi na pierwszym spotkaniu przedwyborczym — więk-szej kariery już nie może zrobić dzie-cko chłopskie nad karierę pisarza, natomiast biorę na siebie nowe cię-żary”.

Ciężary te jednak dźwiga z żar-liwą pasją, nie wahając się, gdy za-chodzi tego potrzeba, nazywać rze-czy wprost, po imieniu, walić praw-dę prosto w oczy, nawet gdy ona jest gorzka, niepopularna. Jest bez-kompromisowy. Zarówno wówczas gdy polemizuje z prowokacyjnymi oskarżeniami w czasie kampanii wy-borczej w 1957 roku, jak i wówczas, gdy przychodzi mu się bronić przed bezzasadnym posądzeniem o... anty-semityzm za to, że po nazwisku wy-mienił zdrajców Świątę, Monata i Tykocińskiego, czy wręcz wów-czas, gdy demaskuje sprężynę wy-darzeń z marca 1968 roku. „Politykę — pisze — traktuję tylko jako wy-

Zdymisjonowano kilku wicemi-nistrów i kilkunastu znanych dyrektów, odeszło kilkudziesięciu mniej ważnych rycerzy mistyfikacji socjalistycznej, nastąpiło kilkadziesiąt cięć na podgór-nych rejestrach szkolnictwa oraz zarzą-dzania i administrowania kulturą — cięć w imię obrony organizmu narodo-wego, przede wszystkim młodzieńczego i oto na Zachodzie rozlewa się morze parszywych inwektyw pod adresem Po-laków i ich władzy ludowej na czele z Władysławem Gomułką. O pomstę do nieba — mówił pewien chłop — woła obelga rzucona towarzysowi Wiesła-wowi. Niejaki Barnett Janner wręcz grozi w „Yorkshire Post” z dnia 10 kwietnia: „Nie zamierzamy mieszać się do wewnętrznych spraw Polski — do narodu polskiego należy wybór własne-go rządu. Nie będziemy jednak tolero-wać wskrzeszenia antysemityzmu jako oręża nienawiści i nietolerancji”. O kogo tu chodzi? Przy użyciu jakich środ-ków zamierzają nie tolerować na-szego kierownictwa?

Zbliża się 25 rocznica powstania w getcie warszawskim. Ach, jak to nie-dobrze, że „Yorkshire Post” nie wyla-dowała swej wojowniczości w 1943 roku przeciw Hitlerowi. Ich ciosy spa-dają teraz niemalże na ofiary Hitlera.

Trwa kampania przeciw porządkowa-niu stosunków w polskim domu. Pyta-nie: dlaczego krzyczą imperialistyczne, reakcyjne, syjonistyczne tuby propaga-dowe, które przez tyle lat wyolbrzymia-ły liczbę ludzi nieudolnych w polskiej administracji i gospodarce;

które trąbiły — i także na wyrost — o nadużywaniu stanowisk w aparacie władzy; które podgryzały rzekomą nienaruszal-ność pewnych posad; które podawały i wymyślały przykła-dy braku sprawiedliwości sięgającej pewnych stanowisk;

które nawoływały do obrony wartości patriotycznych, jakoby pomiatanych przez polskich komunistów; które przydawały polskim biurokra-tom cech diabolicznych, odmawiając im choćby ludzkiego niezgultwa nie zla-godzonego nawet przez dyplom...

Tak to przez całe lata podjudzały owe szczekaczki do jakiegoś totalnego przeciwstawiania się immanentnemu złu, czyli w tym wypadku stosunkowi władza — obywatel w socjalizmie. A teraz,

kiedy szeregowi obywatele oczyszczają rzeczywistość tam, gdzie dopadną brudów;

kiedy w nazwiskach konkretnych ludzi popierają ideologię socjalizmu;

Marian Fleisierowicz

Zwierzenia literata — dziennikarza — polityka

kładanie i przerabianie na życie ide-ologii socjalistycznej (...) Nie wyo-brażam sobie, że miałbym po co żyć, gdybym nie kontynuował walki, po-czynając od lat gimnazjalnych, o naj-bardziej komunistyczne cele — ludz-kie i sprawiedliwe”.

Nawet gdyby w książce Machejka zabrakło tego credo, czytelnik sam bez trudu doszedłby do takich wła-snie wniosków.

Nie przypominam sobie w naszej powojennej literaturze książki, któ-ra by równie wszechstronnie i rów-nie obrazowo, a przy tym rzeczywi-ście wcale nie instytucjonalnie przed-stawiała pracę posła. Stwierdzać o autorze „Poselskich potyczek”, że na-pisał swój zbiór z talentem brzmieć może jak wyrażanie się recenzen-ta. A jednak trzeba tego zwrotu u-żyć. Ale prócz pisarskiego talentu złożyły się na tę książkę ogromne do-świadczenie, znajomość psychiki ludzkiej, a zwłaszcza znajomość chłó-pów, z którymi Machejek spotyka się najczęściej i o których interesy walczy niezmordowanie. Walczy też z tymi „filozofami”, co uważają, że „o kilka obór socjalizm się nie za-wali”, co są zdania, że „socjalizm — to nie drobne sprawy, ale tylko wiel-ka rzecz”. Władysław Machejek swo-im posłowaniem na każdym kroku udowadnia, że socjalizm to właśnie także drobniarstwo, że w walce o socja-lizm jest miejsce i na troskę o dobre zaopatrzenie GS w gwoździe, cegły, pape, nawozy sztuczne, i na upomi-nanie się o sprawiedliwy rozdział po-datów, wymiaru obowiązkowych do staw, odszkodowań z PZU, i na wo-lanie o słuszne decyzje urzędników administracyjnych i ludzki nie for-malny stosunek do trosk, krzywd czy urazów nawet nie znajdujących pokrycia w faktach.

Z książki Machejka czytelnik po-znaje nie tyle działalność Sejmu ja-ko najwyższego organu władzy pań-stwowej, ile właśnie działal-ność posła. Jeżeli już autor prze-kracza z nami próg Sejmu, to raczej pokazuje jego kulisy, jego atmosfę-

re, posłów. Zawsze ma o nich do powiedzenia coś ciekawego, prywat-nego, coś czego się nie znajdzie ani w najobszerniejszych relacjach pra-sowych, ani w szczegółowych proto-kolach sejmowych. Niekiedy krasil swój opis kularową anegdotą, raz po raz jakimś posłowi poświęca jedno tylko celne zdanie, ale to zda-nie więcej mówi o człowieku niż ca-ły oficjalny życiorys. Czasem uchylil rąbką z pracy komisji sejmowej, przeważnie komisji kultury. Znać rękę mistrza, wytrawnego pisarza — i co tu ukrywać — doświadczonego polityka.

Przed wszystkim jednak pisze au-tor o swej pozasejmowej pracy, o niezliczonych spotkaniach i innych kontaktach z wyborcami, gdzie mó-wi się o wszystkim, począwszy od braku drożdży w sklepie wiejskim i od tego, że krowa nie chce się ocie-lić, a skończywszy na krytyce ustaw, jeżeli są wadliwe. Literat-dzienni-karz-polityk w jednej osobie walczy o poprawę tego, co jest. Chce, żeby było lepiej. „To są potyczki — mówi — zawsze z trudnościami wzrostu, choćby nie wiem ile win przylepić biurokracji, niezgultwie i znieczu-lity”. Te trudności wzrostu rozumie autor nie tylko w aspekcie ekono-micznym i kulturalnym lecz również w sensie ideologicznym i społecznym. Z nich powstają dysonanse i dyspro-porcje, których nie można — jego zdaniem — traktować jako dopust boski czy socjalistyczny. Nie trzeba się ich bać. Trzeba im się natomiast sprzeciwiać i szukać jak najlepszych rozwiązań.

I właśnie to sprzeciwianie się, szu-kanie twórczych rozwiązań, satysfak-cja z każdej usuniętej przeszkody i ciągłe dostrzeganie, przez sprawy po-zornie drobne i mało znaczące, wiel-kich perspektyw — nieustannie to-warzyszą przy lekturze tej ciekawej i z pasją napisanej książki.

*) Władysław Machejek „Poselskie po-tyczki”, Wydawnictwo Literackie, Kra-ków 1969, str. 370, cena 30 zł, opr. płóc.

kiedy nie chcą być satelitami sztucz-nych światel;

kiedy kwestionują fachowość i kom-petencję pewnych urzędników zna-jących się na wszystkim, a więc praktyc-znie rotacyjnych;

kiedy wyznają, że nie lubią facetów podrobionych;

kiedy obnażają się prawdziwych nie-przyjaciół Orla Białego i Mazurka, a więc gnębicieli socjalizmu opartego o naród zrośnięty z tą jedyną oj-czyną na śmierć i życie, teraz właśnie słyszymy zza dolarowej kurtyny, że (słu-chajcie, słuchajcie!):

Władysław Machejek

ZMIA-
NY

Fragment omawianej
wyżej książki p.t.
„Poselskie potyczki”

„W Polsce pogłębia się kryzys poli-tyczny”. „W Polsce polowanie na cza-rownice”. „W Polsce czystka”. W imię czego ta zmiana obaw i kierunku inspi-racji? Bo w Polsce teraz dzieje się źle inaczej, niż chcieli, albowiem: z władzy administracyjnej, gospodarki, z wychowania młodzieży oraz kultury, eliminuje się karierowiczów, miglanców, niezgultów, dwulicowców dwuoczyńnia-nych, sztychów z wartości narodowych, ludzi nie umiejących upilnować własnej żony, nie potrafiących wychować włas-nych dzieci, natomiast pouczających cały naród, co to jest moralność dzieci, natomiast pouczających cały naród, co to jest moralność i socjalizm.

Tak, ileż nędzy drzemie w pewnych blaskach. „Wolna Europa” protestuje w pośredni sposób przeciw demokracji, aktywizacji mas ludzkich — WE jest w tym wypadku dla apatii. Wyłaził pańskie elitarnie sztyło z worka. Omawiając zejście pewnych nazwisk z areny poli-tycznej, WE stroi takie miny, jakby przy następnym nazwisku jutro Polska miała się zaważyć. Ostrzegając, szantażując.

Mimo różnych kosmicznych kłamek, rozsiwianych przez „Zachód”, socja-li-styczna wspólnota narodowa w Polsce przeżyła i spożyła Święta nie zbulwer-sowana. Nikogo nie zaniepokoiły zmia-ny personalne. Ludzie są raczej zainte-resowani w tym, żeby niczego nie kłaj-strować, jeśli obnażą się szczeliny i dziury.

Premier Cyrankiewicz, a także Zenon Kliszko mówili na plenum Sejmu o nie-ustannej potrzebie usprawniania apa-ratu władzy szeroko pojętej. W tym aspekcie, w jakim idą sygnały od dolu wskazujące na zło. Krytyka i obywatel-ska dorada odnoszą się przede wszyst-kim do zmiany stylu, metod i postępo-wania w rządzeniu oraz do efektywniej-szego gospodarowania naszą energią narodową i tzw. bogactwami.

Chodzi więc ciągle o pełne, nie-ustępliwe zaangażowanie socjalistyczne. A że przy tym nie ostoł się jakiś posada, to cóż z tego? Polska się zaważy? Nie dajmy się oskrzydlać wrogiem nagonce nie upadajmy przed straszakami. Raczej należy martwić się tym, że nie wszędzie jeszcze ożywczy wiatr podniósł ludzi z pozycji oczekiwanego. Nie zaktywizowało się — poza papierowymi deklaracjami — wiele składników naszego życia politycznego i społecznego i naszych insty-tucji państwowych. Dysproporcje? Tak. Na tle aktywizacji polityczno-partyjnej Stolicy może powstać wrażenie, że linie społecznych dążeń odstają od siebie. Jeszcze spokojnie i optymistycznie bę-dziemy patrzyli w przyszłość, jeśli fale oczyszczania dotrą wszędzie — nawet do prowincjonalnych majestatów i naj-bardziej królewskich miast i najbardziej kulturalnych synekur. Ożywcze zmiany mogą się nie podobać tylko wrogom zewnętrznym i przeciwnikom wewnę-trznym, albowiem odbywają się i odbywać się będą pod osłoną — że tak powiem — sił szczerze patriotycznych i szczerze komunistycznych, i sympatie biegna-właśnie ku tym siłom. A to jest gwaran-cja prawidłowego, dynamicznego roz-woju socjalizmu w kraju i nie rozerwani-ności sojuszków zewnętrznych.

Za co płacimy?

Dokończenie ze str. 1

szych zespołach, gdzie nazbyt często postępuje się w myśl zasady: „śmierć frajerom, żądać i nie pozwo-lić, żeby za wiele ode mnie żądali”.

Ludzie, którzy w takich warun-kach podejmują się prób pracy wy-chowawczej zasługują na pełne uzna-nie. Zamykanie oczu na wiele spraw, za cenę ewentualnego zdoby-cia dwóch punktów w najbliższym meczu doprowadziło do tego co ma-my w zespołach piłkarskich. Ale nie można się ograniczać tylko do mó-

wienia o wychowaniu i traktowania te-go jako sztydu dla tzw. czynników. Musi ulec zmianie stosunek do „gwiazd”. Nie wierzę, by pomogły zebrania i pogadanki. Sytuacja doj-rzała do konkretnego działania.

Jestem przekonany, że nareszcie zwycięży zdrowy rozsądek, a umowa obowiązująca będzie obie strony i kluby i wszystkich piłkarzy. W prze-ciwnym razie będziemy nadal od-biorcami obietnic na co dzień i mier-noty na boisku. Jak długo i za ile?

BOGDAN DOHNKE

Wspomnienia szpiega

W rozmowie ze specjalnym wysłannikiem londyńskiej gazety „The People” były as wywiadu hitlerowskiego, Bazna, zaprzeczył kategorycznie, jakoby żył w skrajnej nędzy oraz ubiegał się o emeryturę od rządu NRF. Z relacji wysłannika gazety wynika, że 65-letni obecnie Bazna, który pełnił w latach drugiej wojny światowej funkcję kamerdynera i totumfackiego ambasadora Wielkiej Brytanii w Ankarze, przekazał Abwehrze fotokopie najbardziej tajnych dokumentów alianckich — żyje dostatnio w Monachium wraz z 45-letnią żoną i 19-letnią córką. O troskliwej opiece, jaką rozciągają nad nim władze NRF, świadczy między innymi fakt, że w uznaniu zasług położonych dla hitlerowskiego wywiadu otrzymał on od monachijskiego magistratu super-luksusowe mieszkanie składające się z 6 pokoi.

Podczas rozmowy z dziennikarzem angielskim Bazna, który w kartotekach Abwehry figurował pod pseudonimem „Cicero” zaprzeczył również pogłoskom lansowanym w różnych publikacjach, jakoby w zamian za dostarczone dokumenty, między innymi plany lądowania wojsk alianckich w Normandii otrzymał od hitlerowców zapłatę w fałszywych banknotach. Bazna twierdzi natomiast, że za wszystkie potajemnie sfotografowane dokumenty, przechowywane

w kasie pancерnej brytyjskiego ambasadora w Ankarze otrzymał łącznie milion funtów tureckich (równoważność około 250 tys. dolarów). Część tych pieniędzy od razu zainwestował w różnych intratnych przedsięwzięciach, a resztę — około

Jan Szczerbiński

„Cicero” nie żałuje niczego

600 tys. funtów tureckich ukrył w tajnym schowku jako żelazną rezerwę. W ostatnich miesiącach wojny zwrócił się do niego rezydenci wywiadu niemieckiego z prośbą, aby wymienić im 50 tys. funtów angielskich na lokalną walutę, której ze względu na katastrofalną sytuację III Rzeszy nie mogli zdobyć normalnymi kanałami. Bazna zgodził się, ale pod warunkiem, że najpierw o-

trzyma kilka banknotów w celu sprawdzenia, czy są prawdziwe. Ponieważ ekspertyza dokonana przez specjalistów bankowców wypadła po myślnie transakcja doszła do skutku. W zamian za funty angielskie Bazna wypłacił hitlerowcom owe trzymane na czarną godzinę 600 tys. funtów tureckich. Z dalszych wyjaśnień „Cicero” wynika, że zaraz po zakończeniu wojny zużytkował on część otrzymanych funtów angielskich na uruchomienie wielkiego przedsiębiorstwa budowlanego, posiadającego liczne filie. Kłopoty z angielskimi funtami rozpoczęły się dopiero wówczas, gdy policja szwajcarska aresztowała dwóch jego wspólników, oskarżając ich o puszczenie w obieg fałszywych banknotów 5-funtowych. Wkrótce potem policja turecka skonfiskowała wszystkie banknoty angielskie znajdujące się w posiadaniu Bazny.

Jak się wydaje, eks-as wywiadu hitlerowskiego przebolewał już poniesioną stratę. Nadal nie może się jednak pogodzić z tym, że pomimo energicznych starań i skarg sądowych nie otrzymał ani grosza od autorów i wydawców książki opisujującej jego szpiegowskie wyczyny.

Z wypowiedzi Bazny wynika także, że nie tylko nie odczuwa on żadnych wyrzutów sumienia z powodu wysługiwania się hitlerowskiemu ludobójcom, ale przeciwnie, uważa, że wykradając tajemnice brytyjskiego ambasadora, uczciwie zasłużył na wysokie wynagrodzenie.

Eugeniusz Pauksza

Od George Sand do Conrada

Jak zwykle, po rozpakowaniu paczki z książkami, zaczynam ich lekturę od tomów pamiętnikarskich. Pośród wydawnictw PIW-u trafialem teraz na wyjątkowy rarytas, „Dzieje mego życia” George Sand (przekład Marii Damińskiej-Joczowej, ze wstępem Marii Straszewskiej), kapitalną spowiedź tej najslawniejszej choć nie najwybitniejszej pisarki XIX wieku. Nie tak dawno jeszcze czytaliśmy „Lelię” czyli życie George Sand” pióra nieustrzonego Mauroisa, i tym pełniej szym wizerunkiem tej niecodziennej kobiety staje się jej własna wypowiedź. Z tym, że Aurora Duvedant i tutaj zostaje pisarką, dokonuje wyboru, pomija pewne sprawy, inne podkreśla szczególnie ostro. Pewnie, nie ma tu zbyt wiele o tak głośnych historiois amoureu-ses pani Sand, na tym polu autorka jest skąpa w zwierzeniach, ale uczynił to za nią

Należy zwrócić szczególną uwagę na dosyć unikalną pozycję jaką stanowią w literaturze martyrologicznej listy więzienne Krystyny Wituskiej — „Na granicy życia i śmierci”, obejmujące okres od listopada 1942 po czerwiec 1944, gdy autorka została ścięta w więzieniu w Halle-Saale. Wituska, pracowniczka wywiadu Związku Walki Zbrojnej (później AK) zostaje aresztowana 20 października 1942 roku. Odtąd droga jej przez śledztwa powiedzie do Warszawy do Berlina (więzienia Alexanderplatz i Alt-Moabit — i do Halle - Saale. Jest to najbardziej autentyczna z możliwych relacja o losie nie tylko samej autorki, ale także i innych licznych Polek, zwłaszcza z z wywiadu i w ogóle kobiet z międzynarodowego Ruchu Oporu.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz w nowej swej książce, będącej wierną, choć zbeletyzowaną relacją z dzie-

wszakże już w jakimś stopniu Mau-rois. Jest natomiast ta książka wspólnym dokumentem epoki.

Warto zaanonsować nową pozycję w serii monografii artystycznych malarzów wydawanych przez PIW. Tym razem prezentowany jest „Ingres w oczach własnych i w oczach przyjaciół” w opracowaniu Pierre Courthion'a. Tom składa się z części cenniejszej zawierającej wybór myśli i pism głośnego malarza, skomentowanych przez autora monografii oraz z ocen wystawianych twórczości Ingres'a tak przez współczesnych jak przez potomność. Życie Ingres'a zamknięte klamrą lat 1780—1867, nie obitało w niezwykłości, i choć na różnych polach artysta dostąpił wielu zaszczytów i dostojenstw, nie one frapują najbardziej, podobnie i jak nie konwencja mocno konserwatywna jego twórczości, ile to w niej, co wydobywało się jakby podświadomie, a co jest głównym walorem jego wielkiego malarstwa, erotyzm wzroku, jak określili to krytycy.

jów polskiego Ruchu Oporu we Francji w latach 1940—1944, wprowadza czytelnika w mało znany potęg wycinek dziejów wojennych. Autor i tę książkę, jak wszystkie inne, pisze z pasją, z gruntowną znajomością szczegółów i środowiska. Dlatego „Gra wojenna” przybiera walory literatury wysokiej klasy, ostrej w spięciach, mocnej w konfliktach, bardzo przy tym polskiej i patriotycznej.

A teraz co nieco o seriach PIW-owskich. W cyklu „Współczesna proza światowa”, otrzymujemy tom szwajcarskiego pisarza Waltera Vogta „Ja, nieśmiertelny”, będący kreślonym z pozycji lekarza, którym jest autor, zapisem wewnętrznego monologu podczas wykonywania przez ordynatora kliniki zwykłych czynności. Traf chce, że to ostatni dzień życia tego człowieka, co nadaje świetnemu studium psychologicznemu specyficznego akcentu.

Na zakończenie wspomnę już tylko, że ukazały się w pięknym wydaniu Josepha Conrada: „Zwierciadło morza”, „Korsarz”, „Los”. Wszystko w ramach cyklu „Z pism Josepha Conrada”.

UŚMIECHNIJ SIĘ



Z kancelarii do pałacu ślubów

Dokończenie ze str. 2

mające bardziej podniosły charakter — nadawanie dziecku imienia (muzyka, złożenie ślubowania przez rodziców, okolicznościowe przemówienie kierownika USC, podpisanie aktu nadania imienia itp. itp.).

Na zakończenie warto pokusić się o krótki przegląd dotyczący inicjowania i przyjmowania się świeckich form symboliki obrzędowo-obyczajowej, towarzyszących innym ważnym wydarzeniom w życiu człowieka.

Przyjęcie dzieła do szkoły. To wydarzenie wielkiej wagi w życiu najmłodszych obywateli pozbawione jest dotychczas odpowiednio uroczystej oprawy. Inicjatywy winny chyba zmierzać do stworzenia jakiejś formy — nazwijmy ją umownie — pasowaniem na ucznia.

Uzyskanie dowodu osobistego. Traktowane jako osiągnięcie dojrzałości obywatelskiej posiada już właściwą symbolikę obrzędową. Gdzie niegdzie organizuje się uroczyste wręczenie dowodów osobistych grupom młodych obywateli. Dowody wręczają 18-latkom przedstawiciele władz. Obecni są rodzice, wychowawcy, przełożeni zasłużeni obywateli.

Rozpoczęcie służby wojskowej. Istnieją bliżej nieokreślone koncep-

cje uroczystego zegnania poborowych. A także uroczystego witania wracających z wojska.

Jubileusz długoletniego pożycia małżeńskiego. Obchodzony bywa w sposób uroczysty (spotkania jubilatów z przedstawicielami władz administracyjnych).

Przejęcie na emeryturę. Niestety w wielu zakładach pracy, niestety przechodzący na emeryturę nie są zegnani w sposób, który akcentowałby ich dotychczasową rolę w zakładzie i za chęć do utrzymywania z nim kontaktów.

Zgon. Niektóre urzędy stanu cywilnego na specjalnych drukach wysyłają kondolencje najbliższej rodzinie zmarłego.

Popularyzacja form tu i ówdzie już stosowanych oraz inicjowanie nowych to zadania trudne, które z pewnością przerastają siły prezydium rad narodowych. Dobrze się zatem stało, że ostatnio Front Jedności Narodu przejął żywsze zainteresowanie świecką symboliką obrzędową, co znalazło wyraz m. in. w powołaniu zespołów do spraw kultury obywatelskiej obywatelskiej (ależ skomplikowana nazwa!). Wspólnymi siłami z pewnością łatwiej będzie inicjować i upowszechniać świeckie obrzędy nie pozostające przecież bez wpływu na kształtowanie właściwych postaw.

MICHAŁ ŁUCZAK

Przeglądamy Prasę

LEKCJA PATRIOTYCZNEGO WYCHOWANIA

Kwiecień jest w naszym kraju Miesiącem Pamięci Narodowej. „Walka Młodych” w związku z tym publikuje artykuł redakcyjny, w którym czytamy m. in.:

„Chylimy głowy przed cieniem sześciu milionów Polaków, których życie unicestwił faszyzm.

Oddajemy głęboki hołd bojownikom o naszą wolność, żołnierzom poległym w walce z hitlerowskim potworem, ofiarom zwyrodniałych i bestialskich praktyk hitlerowskich ludobójców.

Pamiętamy cenę, jaką Wy zapłaciliście za naszą wolność. Zapamiętamy na zawsze, jak należy cenić zwycięstwo (...)

Dokumentujemy tę świadomość naszym zaangażowaniem w gromadzenie dokumentów bohaterstwa i ofiarności, w zaznajamianiu nowo wstępujących pokoleń z prawdą o latach, które pochłonięły tyle ofiar i które były najtrudniejszą lekcją patriotyzmu naszych poprzedników, o latach, których historia jest dla nas lekcją patriotycznego wychowania, jak żyć mądrze i jak działać, by — jak pisał Żalusi — nie miało bez śladu.

Dokumentujemy tę świadomość szczeniakiem dla symboli, troską o kwiaty w miejscach uświęconych krwią.”

„Walka Młodych” podejmuje w tej publikacji apel dziennika „Żołnierz Wolności” skierowany do rodziców, pedagogów, działaczy młodzieżowych, wychowawców młodego pokolenia, apel o szacunek dla symboli.

„Niech nikt nie zapomni — powtarzamy za publicystą „Żołnierza Wolności” — zdjąć czapki przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Kiedy odbywa się uroczysta zmiana warty. Kiedy fanfaryści grają sygnał. Kiedy defiluje poczet sztandarowy Wojska Polskiego. Chodzi o gesty, które tylko cynikom mogą

wydać się puste. Chodzi o gesty pełne uszanowania dla symboli wiele znaczących dla ludzi starszych, dla symboli, które powinny również wiele znaczyć — pisze „Walka Młodych” — dla nas, ludzi młodych.”

LICZĄ NA NASZE ZNUŻENIE?

W cotygodniowym felietonie „Z mego obserwatorium” W. M. pisze w „Życiu Literackim” m. in. na temat najnowszych prób dywersji antypolskiej:

„Bardzo nas zasmuciła wiadomość, że tacy intelektualiści i pisarze francuscy jak Louis Aragon, Simone de Beauvoir, Maurice de Gandillac, Michel Gordy, Alfred Kastler, Jacques Madaule, Jean Paul Sartre, Elsa Triolet dali się nabrać na antypolską hecę syjonistyczną i dali tego typu oświadczenie w „Le Populaire”. Zbiegło się to nieszczęśliwie (choć nie wykluczam synchronizacji), z enuncjacjami niejakiego pana Wiesenthala w Wiedniu, który przestał ścigać zbrodniarzy hitlerowskich i zabrał się do denuncjowania tych Polaków, którzy nie chcą się pogodzić z pluciem na naród polski i bronią suwerenności narodowej we własnym państwie: Po co to, w jakim celu? Ano to jest presja na chwilę i szukanie możliwości zaktywizowania różnych filo... filo... A może i syjonistyczne półtrupcy ożyją? Ma się rozumieć, wiesenthalska propaganda może zdobywać tych, którzy nie walczą po polsku i po komunistycznemu. Liczą na nasze znużenie.

A nuż ktoś w kraju przyłączy się do szarpania podanych nazwisk. Wtedy wki mają rację, gdy towarzysze towarzyszy szarpia. Przed wyborami w Polsce, w środku dramatycznych wydarzeń w ruchu komunistycznym wrogowie przystępują do nowego szczeniaka.”

SPRZEDAWCY I KOSMONAUCI

Socjologowie radzieccy stwierdzili, iż prestiż społeczny różnych zawodów w środowiskach młodzieży jest odwrotnie proporcjonalny do zapotrzebowania na te zawody. Oto np. najwięcej młodych osób chciałoby być kosmonautami. Podobnie rzecz się ma w innych krajach. Także u nas. A wiąże się to z utrzymywaniem szeregu ocen i stereotypów do-

tyczących godności ludzi wykonujących określony zawód. Pisze o tym Henryk Jankowski w „Argumentach”, stwierdzając:

„Stereotypy te są często wzmacniane przez nieudolną propagandę zasadniczych szkół zawodowych. Schemat wygląda tu w sposób następujący: pewnie, że każdy by chciał uzyskać średnie czy wyższe wykształcenie, ale niestety, nie każdy ma ku temu zdolności. Ponieważ gospodarka narodowa potrzebuje rzetelnych fachowców, to młodzi ludzie, którzy nie czują się na siłach do nauki w szkolnictwie średnim a następnie wyższym, winni składać papiery do szkół zawodowych. W ten oto sposób u podstaw decyzji rodziców i ich dzieci może leć przekonanie o poważnym ograniczeniu ich zdolności, możliwości oraz szans życiowych. Na pocieszenie zostaje im fakt łatwiejszego dostania się do szkoły jej ukończenia, a także przekonanie o społecznej przydatności wybranego zawodu. Jednym słowem, decyzja tego typu jest już rodzajem rezygnacji.”

Wobec takiej sytuacji autor uważa, że warunkiem niezbędnym elementarniej uczciwości zabiegów propagandowych, zmierzających do właściwego ustawienia proporcji w dziedzinie szkolnictwa, jest stworzenie takiej sytuacji, w której uczeń każdej szkoły — niezależnie od tego jakby się ona nazywała — miał możliwości i uprawnienia do dalszej nauki. Nie może bowiem być tak iż wybranie jakiejś szkoły — zamyka poniekąd uczniowi możliwości dalszego kształcenia się, jako że konieczne jest w takich wypadkach przynajmniej częściowe powtarzanie nauki od nowa.

„Prawo i Życie” publikuje dwa zasadnicze artykuły wiążące się z kampanią wyborczą do Sejmu i rad narodowych. Wit Majewski pisze na temat spełniania przez Sejm funkcji kontrolnych; Witold Ziemiński przedstawia „Prawo wyborcze do parlamentu w XXV-lecie PRL”, „Kultura” drukuje fragment książki Melchiora Wańkowicza, który szkicuje tu postać gen. Eisenhowera, „i” w cyklu „Słownik polityczny” publikuje artykuł Andrzeja Buźnickiego o Tro-

LEKTOR